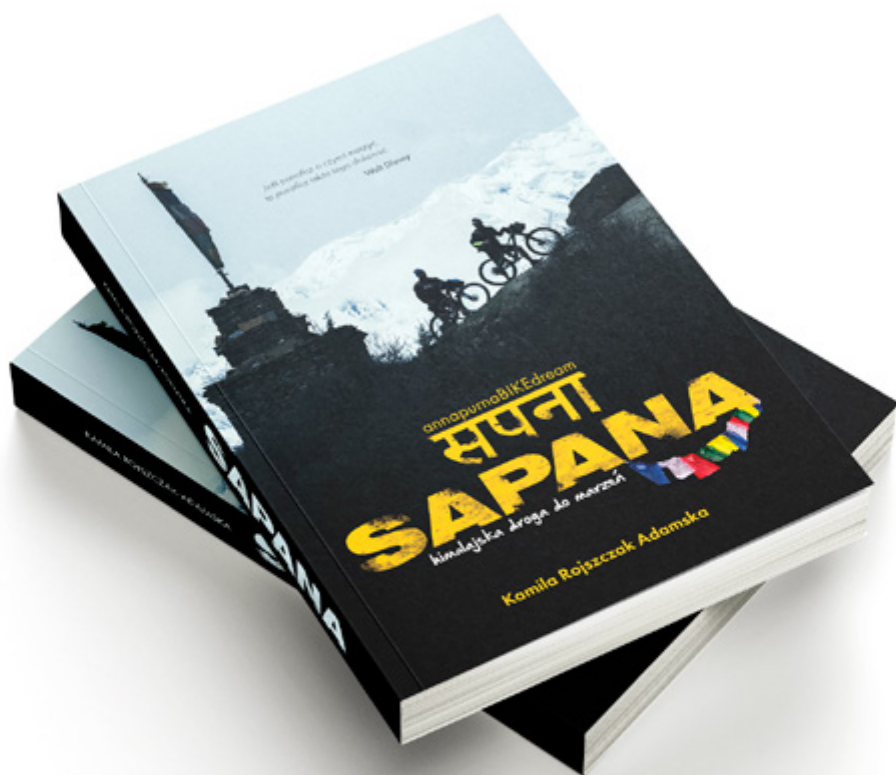


*Jeśli potrafisz o czymś marzyć,
to potrafisz także tego dokonać.*

Walt Disney

annapurnaBIKEdream
सपना
SAPANA
himalajska droga do marzeń

Kamila Rojszczak-Adamska



Sapana – himalajska droga do marzeń

Wydanie pierwsze, Łódź 2025

Copyright © by Kamila Rojszczak-Adamska

Copyright © by Fundacja Duo Enduro

All rights reserved

Wszelkie prawa, łącznie z prawem do reprodukcji tekstów i zdjęć w całości lub części w jakiegokolwiek formie – zastrzeżone.



Wydawca i wyłączny dystrybutor:

Fundacja Duo Enduro

www.duoenduro.org

Autor zdjęć: Cezary Adamski, Kamila Rojszczak-Adamska

Redakcja, korekta: Natalia Tarka, www.redakcjatekstu.pl

Projekt okładki: Cezary Adamski

Projekt graficzny makiety, skład, łamanie: Krzysztof Waloszczyk, www.socreativehouse.pl



annapurnaBIKEdream

सपना

SAPANA

himalajska droga do marzeń



Kamila Rojszczak-Adamska

Spis treści

Prolog

Prolog, czyli jak to wszystko się zaczęło

Przygotowania, czyli dlaczego to nam tyle zajęło

Pakowanie, czyli czego można zapomnieć mimo **checklisty**

Podróż, czyli **welcome to Asia**

1000

Dzień 1., czyli jakie burze można napotkać podczas podróży po Nepalu

Dzień 2., czyli jak złapać zadyszkę na tysiącu metrach w Himalajach

2000

Dzień 3., czyli przewaga folio-texu nad nowoczesnymi technologiami

Monk, czyli nasz rudy przewodnik

3 Sisters, czyli pierwsze, nepalskie przewodniczki

3000

Dzień 4., czyli dlaczego nie wierzymy prognozom pogody

Dzień 5., czyli jak wiosną pada śnieg w Himalajach.

3500

Manang, czyli nepalskie Zakopane

Pierwszy dzień aklimatyzacji

Drugi dzień aklimatyzacji

Dzień 8., czyli jak wygląda **singletrack** na wysokości 4000 m n.p.m.

4000

Dzień 9., czyli ile jest w Nepalu mostów wiszących

Landslide, czyli co zapamiętam ze strefy osuwisk

4500

Dzień 10., czyli kto potrzebuje deksametazonu

No Pain No Gain, czyli przygotowania fizyczne

5000

Dzień 11., czyli jak wejść na przełęcz

Zjazd

Muktinath, czyli witamy w nepalskiej Jasnej Górze

Dzień 12., czyli dlaczego ciągle się dziwię

Dzień 13., czyli jak głęboka jest najgłębsza dolina rzeczna w Nepalu

Dzień 14., czyli kiedy w końcu będzie ciepło

Dzień 15., czyli jak jechać, żeby nie dojechać

Podsumowania

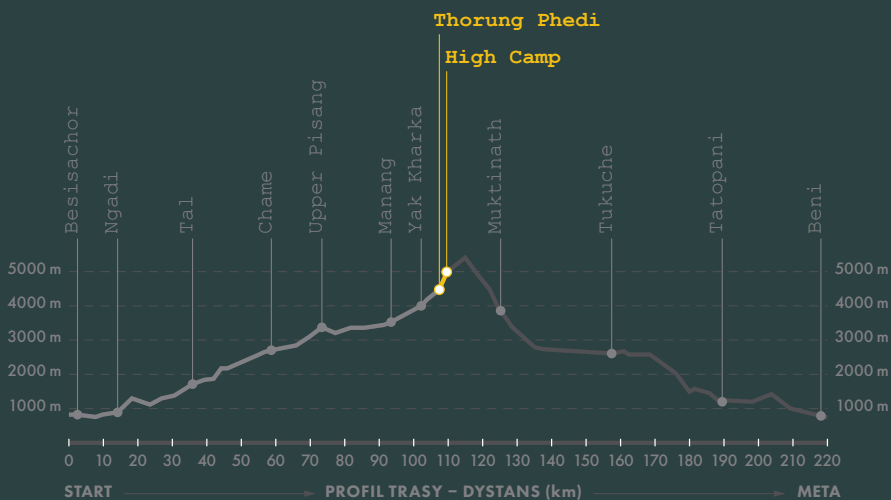
Podsumowania, czyli parę liczb i może coś więcej



wysokość

4500 m

Dzień 10.





dist.	elev. gain	time	min.	max.
1,92 km	381 m	2h 12m	4528 m	4906 m



Dzień 10,

czyli kto potrzebuje deksametazonu

Thorung Phedi, 4540 m ► Thorung High Camp

28 kwietnia



Jest siódma rano, gdy słyszymy delikatny dźwięk dzwoneczka, przeniesiony jakby z produkcji filmowych Disneya. To Jacuś i Adaś delikatnie nas wszystkich budzą 😊 Dobrze się nam spało, było ciepło, przytulnie, a ławko-łóżka wbrew swej nazwie okazały się całkiem wygodnym rozwiązaniem. Sprawnie wygrzebujemy się ze śpiworów, koców, kurtek, czapek... Za oknami na jasnobłękitnym niebie świeci już piękne słońce. Wszystko pokryte jest świeżym, białym śniegiem. Zgodnie z prognozami w nocy padało, temperatura spadła do -10 stopni. Teraz nadal jest lekki mroziak. Przez mocne słońce mamy poczucie ciepła, mimo że ostre powietrze i zimny błękit nieba nie zostawiają złudzeń.

Wychodzimy na zewnątrz, żeby nacieszyć się miejscem. Przy takiej widoczności możemy dostrzec jeszcze więcej i znacznie dalej. Dziś wszystkie okoliczne zbocza pokryte białym śniegiem wyglądają nieco inaczej

niż wczoraj. To zimowa odsłona tego miejsca w pełnym słońcu. Brakuje tylko desek snowboardowych. Zamiast nich są jednak rowery ☺ Na zewnątrz panuje cisza. Nie ma już turystów, ci bowiem opuścili bazę jeszcze przed wschodem słońca. Słychać tylko lekki świst wiatru przeplatany rytmicznym poćwierkiwaniem sępów himalajskich, które towarzyszą nam od wysokości 4500 m n.p.m. Niestety, gatunek tych dużych ptaków jest zagrożony wyginięciem. Współczesny świat i jego problemy docierają nawet tutaj.

Biel śniegu potęguje odbicia światła, ciężko więc podziwiać okolicę bez okularów przeciwsłonecznych. Bardzo nam się one przydają, nawet w te pozornie pochmurne dni. Zasady fizyki są bezlitosne. Kiedy jesteśmy tak blisko słońca, realnie nam ono zagraża. Porterzy opowiadali wczoraj o turystce, która na przełęczy doznała ślepoty śnieżnej. Każdy z nas pilnuje więc swoich kolorowych szkiełek od Tripout Optics, jednego z naszych partnerów. Już po opalonych twarzach widać, że nie powinniśmy zapominać o kremie z filtrem. Buźki mamy mocno brązowe, a usta spierzchnięte i spękane. Ochrona przed słońcem nie wystarcza. Zagraża im kolejny żywioł – ostre, górskie powietrze. Na tej wysokości trudniej się nam zwentylować, szczególnie przy większym wysiłku, gdy próbujemy wyrównać krótki oddech, przez co łączywie przez usta wdychamy zimne powietrze. Do wyprawy przygotowaliśmy się bardzo dobrze sprzętowo, mamy ciuchy i kosmetyki na upały i na mrozy, ale zapomnieliśmy o jednym pozornie mało ważnym szczególe – pomadkach nawilżających z filtrem UV, które załatwiłyby problem pękających ust.

Szkoda, że nikt o nich nie pomyślał.

Po ocenie dzisiejszych warunków i analizie prognoz ustalamy, że wejdziemy na Thorung High Camp lub dojedziemy do niego i tam będziemy spać. Jutro raniutko wyruszymy na przełęcz. Przy takim scenariuszu nigdzie nam się nie spieszy, bo baza ta jest niecałe dwa kilometry i jakieś 500 m przewyższenia dalej, czyli całkiem niedaleko. W naszych pierwotnych założeniach nie zakładaliśmy że będziemy w niej spać. Wydawała się mało gościnna ze względu na wysokość (jest to jedno z wyżej położonych schronisk na świecie), komfort termiczny i dostęp do podstawowych środków sanitarnych. Z dostępnych informacji wiemy, że wielu trekkerów





◀ Czarek gotowy na wspinaczkę do High Campu

ma stamtąd nieciekawe wspomnienia. Narzeka na zły sen i niewystarczającą regenerację na pięciu tysiącach metrów. Planowaliśmy więc tam tylko chwilę odpocząć i podążać dalej, ale – jak widać – życie zdecydowało inaczej. Dziś przyjmujemy, że jest to najlepsza z dostępnych opcji w czasie, który posiadamy.

Nie spieszy nam się więc z wyjściem w górę, w przeciwieństwie do trekkerów, którzy już od świtu operują na zboczu. Widać, jak powoli przesuwają się coraz wyżej i wyżej, dzięki czemu możemy podejrzec, jak będzie przebiegać nasza dzisiejsza trasa. A ona wiję się stromymi serpentynami do góry, w kierunku małego załamania między zboczami. Dalej nie widać już nic. Ciąg dalszy pozostaje nam odkryć samodzielnie. Na pewno jednak czeka nas srogi wypych.

Póki co jemy śniadanie, a w zasadzie niektórzy jedzą, inni tylko próbują. Sylwii bardzo nie wchodzi. Kupiła sobie na śniadanie zaledwie cynamonkę i teraz żuje ją przez długi czas, próbując połknąć. Je z rozsądku,

a nie potrzeby. Nie ma niestety apetytu. Dziś nie czuje się zbyt dobrze. Uśmiecha się jak zawsze, ale samopoczucie ma średnie. Żołądek jej mocno dokucza i przez to nie jest w pełni sił. Jej przeciwieństwem jest w tej chwili Jaro, który bez zająknięcia połyka cały talerz makaronu chow mein. Mógłby spokojnie zjeść drugie tyle, gdyby tylko je miał. Jemu nic nie dolega, czuje się doskonale, jak przystało na dyplomowanego Iron Mana ☺

Po śniadaniu i krótkiej sesji zdjęciowej dla sponsorów zaczynamy szykować rowery. W bazie zostaliśmy już tylko my. Widzimy, że drzwi do pokoi hotelowych są pootwierane, dzięki czemu szybciej się nagrzeją słońcem, które teraz naprawdę mocno grzeje. Każdy z nich jest już pusty. Ze wszystkich okolicznych dachów zaczyna płynąć woda. Roztopia się śnieg, który jeszcze niedawno równo je pokrywał. Wygląda na to, że nasza ścieżka w górę również będzie czarna i śnieg nie będzie nam skrzypiał pod stopami. To dobrze, może będzie nieco łatwiej i mniej ślisko?

Około 11.30 ruszamy do góry. Nastawiamy się mentalnie na pchanie. Rozbieramy się z ciepłych ubrań, bierzemy nasze zapakowane kozy i zaczynamy podejście. Idziemy parami i trójkami, tzn. Adaś, Jacuś i Michał idą pierwsi, potem dwójkami idziemy my i Sylwia z Jarkiem.

Od samego początku droga pnie się ostro w górę i nie ma szans na jazdę. Nawet nie próbujemy wsiadać na rowery, bo i tak nie dałoby się jechać. Trzeba je pchać. Dla mnie nie ma problemu, jestem przyzwyczajona do tego, że na wielu wyjazdach nie jadę, ale idę z rowerem, bo podjechać się po prostu nie da. To normalne, że niektóre trasy są albo zbyt strome, albo ich ukształtowanie czy nawierzchnia nie pozwalają na to, żeby jechać. Wtedy, trzeba zrobić „enduro wypych”, który czasem trwa bardzo długo. Czasem nawet dłużej niż „enduro zjazd”, ale zazwyczaj warto. Nie jest to więc dla mnie nowość. Przyjmuję to jako normę. Jak to mówimy: „nie ma enduro bez wypychu”. Trudniej jest oczywiście, jeśli na kierownicy mamy dodatkowo sakwy i śpiwory, a na niektórych odcinkach trasy rower trzeba podnieść i wciągnąć na górę po oblodzonych skałach. Jest to kłopotliwe, zabiera dużo energii i czasu, ale czasem nie ma wyjścia.

I właśnie teraz nie ma wyjścia. Jechać się nie da.

Prowadzimy więc swoje kozy, ale dzięki temu mamy dużo czasu na kontemplowanie krajobrazu. Znowu jest pięknie, znowu spektakularnie i zjawiskowo. Białe ostre szczyty dosłownie krzyczą na tle niebieskiego nieba.



▲ Krok po kroku zbliżamy się do poziomu 5000 m n.p.m.

Jest ich całe mnóstwo i dużą część oglądamy nieco z góry. Jesteśmy bowiem dość wysoko. Z tej perspektywy nigdy jeszcze nie oglądałam gór, i to takich! Jest to dla nas nowość, a każdy nasz krok to kolejny życiowy rekord wysokości. Cieszymy się z Czarkiem tą chwilą, bardzo nam się podoba. Wcale nie odkładamy aparatów, robimy masę zdjęć i ujęć, bo krajobraz wokół jest po prostu nieziemski. To idealna pora dnia, idealna pogoda. Mimo wysiłku chcielibyśmy przedłużyć ten moment w nieskończoność. A wysiłek jest, bo ścieżka jest stroma i kręta. Każdy zakręt kosztuje nas całe mnóstwo głębokich wdechów i wydechów. Sapiemy, wyrównujemy się, cieszymy i idziemy dalej do kolejnego zakrętu.

U nas jest dobrze, ale piętro niżej już niestety nie. Widzimy, że nasi kompani wyraźnie zwalniają. Mimo że Jarek nosi rower Sylwii, i tak muszą się często zatrzymywać. Sylwia ma mocny kryzys, największy na tej wyprawie.

W końcu zatrzymuje się, siada, rozbiera, analizuje, odpoczywa. I powolutku, krok po kroku, znowu rusza do przodu. Wspomaga się lekami wziewnymi, dzięki którym nie ma mocnej zadyszki. Równocześnie czuje jednak, że totalnie opada z sił i odczuwa ogromną niemoc. Sylwia bowiem, dla odmiany, nie cierpi wypychów, nie znosi ich. Zdecydowanie woli jechać, niż męczyć się, pchając rower, bo – jak mówi – ma za krótkie nóżki na to, żeby robić to skutecznie. Teraz cały czas się przełamuje. Krok po kroku próbuje pokonać swoją słabość. Walczy dzielnie, nikt jej nie pospiesza, bo wiadomo, że musi to zrobić w swoim tempie. Dokładnie tak, jak pozwala jej organizm. Będzie to trwać dłużej i kosztować ją dużo energii, ale wie, że musi to zrobić. I trzyma się tej myśli.

Jaro cały czas służy jej pomocą i tak naprawdę wnosi na górę dwa rowery. Robi prawie dwa razy tyle kilometrów. Ma supermoc, mówimy, że jest niezniszczalny. Na tej wysokości pomoc jest naprawdę nieoceniona i ma inny wymiar niż na nizinach. Nie każdego stać na to, żeby mimo własnego zmęczenia i płytkiego oddechu pomóc drugiej osobie.

Idziemy dalej. Górna część naszego dzisiejszego podejścia wymaga od nas więcej gimnastyki i zaangażowania, bo rower trzeba częściej podnosić na kolejne stopnie i występy skalne. Pod stopami uślizguje nam się częściowo roztopiony śnieg, którego na tym odcinku jest więcej. Nie zdążył jeszcze stopnieć. Część ścieżki jest też mocniej oblodzona i wyślizgana, więc musimy uważać, żeby nie odjechać z rowerem do tyłu, pchając go jednocześnie do przodu. Nie chce nam się zakładać raczków, bo wiemy, że mamy już niedaleko, ale nasze rowerowe buty nie są na tę chwilę najlepszym rozwiązaniem. Choć i tak sprawdzają się znakomicie, biorąc pod uwagę warunki.





Po drodze czekają na nas atrakcje. Spadające ze zbocza kamienie i głazy. Jesteśmy tak zaskoczeni tą sytuacją, że nie bardzo wiemy, co ze sobą zrobić, dokąd uciekać. Instynktownie chcemy się chować za inne skały. Ale, prawdę mówiąc, nie ma ich zbyt wiele.

Na szczęście kamienie lecą niżej w dół i tym razem nas omijają. Musimy jednak być czujni. Podczas podejścia cały czas towarzyszy nam ciekawość – co zobaczymy za kolejnym wzniesieniem? Co czeka na nas dalej? Z każdym krokiem bijemy swoje prywatne rekordy wysokości. A to cieszy nas i nakręca.

Około 14 ostatni prosty odcinek do High Camp pokonujemy w iście zimowej scenerii. Dostaliśmy tu niezły wycisk, ale trwało to na szczęście nie tak długo. Adaś wychodzi nam naprzeciw, żeby pomóc na tym ostat-



nim odcinku, i wciąga mój rower pod same drzwi. Chłopaki doszli jako pierwsi i rozłożyli się już w ciepłej jadalni przy stole. Teraz pozostaje już tylko poczekać na Jarka i Sylwię, którzy rzeczywiście zjawiają się po niedługim czasie. Siadamy wszyscy razem przy dzbanie ciepłej imbirowej herbaty, odpoczywamy i analizujemy. To był bardzo ciężki, ale jednocześnie ciekawy odcinek trasy. Utrudnieniem był na niej śnieg i lód, a później również spadające z góry kamienie. Teraz, gdy mamy to już za sobą, każdy ze śmiechem opowiada, gdzie i jak szybko uciekał przed lodowymi bryłami.

Teraz możemy zacząć planować kolejne wyjście i przygotować się do niego. Nadal odpoczywamy w jadalni. Chcieliśmy przenieść się do głównego pomieszczenia z kozą, ale niestety piec jest na razie zimny. Nic się w nim nie pali bo jest jeszcze za wcześnie. Opał jest tu bardzo cennym dobrem, które w tych warunkach trudno pozyskać, więc kozy rozpalają dopiero o 17. Wtedy będzie to najbardziej oblegane miejsce w całym obozie.

Sam High Camp, położony na niebanalnej wysokości 4923 m n.p.m., to jedno z najwyższych zlokalizowanych schronisk na świecie. Zdecydowanie lepiej prezentuje się na żywo niż na zdjęciach, na których wyglądał bardzo surowo. Kiedy oglądaliśmy je w internecie, nie mieliśmy ochoty tu nocować. Miejsce wydawało się zimne i nieprzyjemne. Tymczasem całość zabudowań wygląda bardzo solidnie, są spójne stylistycznie, dzięki czemu tworzą wrażenie małej, przytulnej wioski. Niskie budynki, wykonane z tego samego budulca co okoliczne skały, idealnie wtapiają

▲ Widok na okoliczne szczyty, gdzieś pomiędzy Thorung Phedi a High Campem

się w krajobraz, nie zakłócają pięknego otoczenia. Człowiek dobrze czuje się w takiej scenerii i takiej skali, siedząc niejako w małym zagłębieniu, otoczony zewsząd wysokimi, pięknymi górami. Trochę tu tajemniczo i trochę bajkowo... no i trochę mroźnie ☺

Z każdą godziną pojawia się coraz więcej osób, a pomieszczenia wypełniają tragarzami i trekkerami. Każdy chce chwilę odpocząć, ogrzać się, rozebrać i przekąsić coś ciepłego. W końcu, po długim wyczekiwaniu, około godziny 17, gospodarze odpalają piecyk. Wszyscy goście gromadzą się wokół niego, aby się ogrzać lub wysuszyć ubrania. Mimo bezpośredniego ciepła siedzimy w puchowych kurtkach i czapkach, bo w pomieszczeniu nadal jest chłodno. Żywy ogień emituje ciepło, ale nie na tyle, żebyśmy mogli się rozebrać. Zdejmujemy tylko obuwie i skarpety – podczas podejścia śnieg powpadał nam do środka, przez co mamy mokre buty. Nie my jedyni zresztą. Wiele osób suszy się i ogrzewa przy piecu, więc w pomieszczeniu panuje niezły smrodek ☺ Dlatego strefę wokół piecyków zawsze nazywaliśmy *smelly corner*.

Siedzimy w małej grupce i rozmawiamy ze sobą oraz innymi trekkerami, którzy dotarli do tego miejsca. Gdzieś w trakcie rozmowy przewija się informacja, że są między nami osoby, które niezbyt dobrze się

czują i mogą wymagać pomocy. Nie od dziś wiadomo, że takie informacje szybko się rozchodzą. Słyszemy więc, że jakaś Amerykanka leży w swoim pokoju i wymiotuje całe popołudnie, bo źle znosi wysokość. Zaraz obok nas siedzi Włoch, wraz ze swoją dziewczyną, i dosłownie obserwujemy jak „odlatuje”. Traci równowagę i nie może ustać, cały czas przewraca oczyma, bo ma zawroty głowy i mówi, że z minuty na minutę czuje się coraz gorzej.



▲ Zajmujemy najlepsze miejsca w bazie, zanim gospodarze rozpalą piecyk

► Smelly corner – czyli jedyne ciepłe miejsce w bazie





▲ Michał, nasz lekarz, podający zastrzyk z deksametazonu włoskiemu turystce

Włosi szli w dwójkę, mijali nas na trasie i dotarli tutaj w podobnym czasie co my. Dopiero teraz mężczyzna zaczyna odczuwać poważny dyskomfort. Ona z kolei ma ból głowy. Przy chorobie wysokościowej rzeczywiście jest tak, że symptomy często ujawniają się z opóźnieniem, po jakimś czasie, nie od razu. Z rozmowy dowiadujemy się, że startowali dziś z Yak Kharki i dotarli aż tutaj, czyli pokonali w pionie około 1000 m przewyższenia. Są, delikatnie mówiąc, totalnie nieświadomi, ile kilometrów powinni robić, z jakimi problemami mogą się borykać. Słyszeli, że ACT to bardzo prosta i widokowa trasa, taka „emerycka”. Że każdy może ją zrobić. Nie mają ze sobą żadnych leków, nawet prostych przeciwbólowych, wygląda to tak, jakby wstali z kanapy i wpadli tu na moment przejść się po okolicy. Widzimy, że rozmawiają z innym trekkerem, który – jak się okazuje – jest lekarzem, i próbują się poradzić, co robić dalej. On nie jest w stanie im pomóc, nie bardzo nawet wiemy, co im doradza. Za chwilę zgłasza się do niego kolejna osoba, która dostała w głowę spadającym na terenie landslide kamieniem. Jest ranna, krwawi. On zatem opatruje mu głowę. Jest trochę zamieszania, wszyscy są lekko podenerwowani, bo atmosfera wyraźnie się zagęszcza. Słuchając tego wszystkiego, zaczynamy się przyglądać sobie i zastanawiać. U wszystkich włącza się wkrętka katastroficzna i my-

ślenie – czy nas też za chwilę coś dopadnie? Najgorsze w takiej sytuacji to negatywnie się nakręcić, zacząć szczegółowo analizować swój organizm, co prowadzi do wmawiania sobie pewnych objawów. Na szczęście jesteśmy grupą, czujemy się normalnie. A w trakcie gadek i śmiechów nie ma czasu ani miejsca na badtripy.

Po pewnym czasie gdy część osób wychodzi, robi się spokojniej i ciżej. Michał z naszej grupy, który również jest lekarzem, oferuje pomoc Włochowi. Ma ze sobą dużo leków, również deksametazon w zastrzykach, który jest stosowany w tego typu sytuacjach. Po dłuższej rozmowie Michele decyduje się na zastrzyk. Dzięki temu będzie mógł kontynuować podróż. Może spokojnie przespać się i jutro za dnia zejść na niższą wysokość, bo jest to kluczowe przy chorobie wysokościowej. Siedzimy z nimi jeszcze chwilę po zastrzyku i rozmawiamy o ich życiu, planach, marzeniach na przyszłość, a także o podróży którą odbywają.



Ten wyjazd w góry, na malowniczy trekking wokół Annapurny, stał się dla nich jako pary czymś więcej niż zwykłą wycieczką, standardowym urlopem, na którym tylko wypoczywają. Stał się formą przypieczętowania, umocnienia ich związku. W czasie drogi obserwują, że wspólna podróż w odległy region świata, długa wędrówka i wysiłek fizyczny, który dzielą, scala ich relację. Z takiej podróży nie wracają opaleni i wypoczęci, ale na pewno z mocniejszą więzią pomiędzy sobą i solidniejszym związkiem. Michele kocha Tajlandię, uwielbia ją. Jego największym marzeniem jest, żeby się tam przenieść wraz ze swoją dziewczyną, zamieszkać i założyć rodzinę. Laura nie chciałaby opuszczać Włoch i przenosić się na stałe za granicę, bo niedawno wróciła po dłuższej nieobecności.

Przyjemnie się rozmawia i słucha przemyśleń innych ludzi, które w 100% podzielam. Ja nie marzę o przeprowadzce, ale dla mnie i Czarka, każda dalsza podróż to nie tylko sportowy wyczyn czy turystyczny cel. Zawsze gdy wyjeżdżamy, jesteśmy z dala od domu, w innych warunkach i niecodziennych sytuacjach dowiadujemy się czegoś więcej o sobie. Lubimy podróże, w których sprawdzamy i testujemy się jako partnerzy i to-

warzysze drogi. Lubimy wspólnie przezwyciężać trudności i radzić sobie z niecodziennymi sytuacjami. Podróż po Nepalu z jego ponadprzeciętnymi walorami jest dla nas zarówno estetyczną inspiracją, jak i sportowym wyzwaniem. Ale przede wszystkim – następnym cennym doświadczeniem życiowym.

Po kilkunastu minutach rozmowy widzimy, że Michele zaczyna się lepiej czuć. Wcześniej miał rozbiegany wzrok i problemy z równowagą. Na szczęście to wszystko powoli mija. Dziękują za pomoc i idą spać, podobnie jak cała reszta bazy. My również, tym razem, nie zamierzamy długo siedzieć. Jutro przed nami bardzo ważny dzień. Musimy być wyspani, silni i zdeterminowani. Ustalamy z Sylwią, że wynajmiemy dwóch porterów, którzy wniosą nam na przełęcz rowery, tak, żebyśmy miały trochę łatwiej i nie musiały dodatkowo obciążać naszych chłopaków. Z perspektywy czasu i własnych doświadczeń mogę powiedzieć, że trochę żałuję tej decyzji, bo spokojnie dałabym sobie radę z wypchaniem roweru. Tego wieczoru nie wiedziałyśmy jednak jeszcze, jak będzie wyglądała trasa i jak będziemy się czuć. Ustalałyśmy to wspólnie jako możliwość dla naszej dwójki i tych ustaleń się trzymałyśmy. Głupio byłoby mi przed Sylwią wycofywać się z tego, ale dziś i potem miałam trochę niedosyt. Trudno więc, będę to musiała powtórzyć ☺ i to niedługo. Idziemy spać do naszych komnat.

Cała baza, poza jadalnią, jest ciemna, a wewnątrz pokoi nie ma prądu, więc w środku jest totalnie czarno. Układamy się przy blasku czołówek. Wciągamy do środka rowery, bo nie chcemy żeby nam przez noc zamarzły. Wewnątrz mamy co prawda temperaturę zero stopni, ale to i tak cieplej niż na zewnątrz. Do śpiworów chowamy butelki z gorącą herbatą, które działają jak piecyk i potem kolejno filtr do wody, kamery, aparaty i telefony, żeby nam nie zamarzły. W pogotowiu obok trzymamy też grube koce, gdyby w śpiworze było za zimno. Mój jest przeznaczony na niskie temperatury, bo aż do minus 10 stopni, odczuwam w nim komfort. Śpiwór Czarka jest zdecydowanie cieńszy, przez to oczywiście lżejszy. Nie wiedzieliśmy, jak będzie w nocy, była więc obawa, że możemy potrzebować dodatkowe koce. Na szczęście nie przydały się.

Zanim tutaj dotarliśmy, wielokrotnie wyobrażałam sobie tę ostatnią noc przed atakiem przełęczowym. Sądziłam, że spędzimy ją na rozważaniach i dyskusjach: jak będzie, czy damy radę, czy nam się uda? Myślałam,



▲ Ostatnia noc w obozie High Camp – w śpiworach gorący termos, w pokoju 0°C

że głowę będę miała pełną obaw, wątpliwości, a może strachu o to, jak organizm zareaguje na wysokość. Okazało się jednak zupełnie inaczej. Najwięcej wątpliwości mieliśmy w Manang, podczas aklimatyzacji. Tam pojawiły się największe niewiadome dotyczące pogody, warunków na trasie, ale i reakcji organizmu na wysokość. Zastanawialiśmy się, czy Anka pozwoli nam przejść na drugą stronę, czy nas przepuści. Teraz zaszliśmy już tak wysoko, czujemy się dobrze, zaadaptowaliśmy się do zimowej aury. Zamiast obaw mieliśmy więc już mocne przeczucie, że przejdziemy przez przełęcz w komplecie. Że to już końcóweczka. Ogarnął nas więc błogi spokój i z lekkim uśmiechem szybko wpadliśmy w zimowy sen ☺ Śniliśmy o zawieszeniu naszej duo:FLAGI na przełęczy, pięknych widokach, emocjach ze zdobywania kolejnego rekordu wysokości...

A może to nie był sen? Może następny dzień?



ZAMÓW KSIĄŻKĘ

www.annapurnabikedream.duoenduro.org

